

Jak to kmieć paniczem został

Marian Wlazło, jako osoba wybitnie przeczulona na punkcie swojego nazwiska, bardzo niechętnie opowiadał o okolicznościach, w jakich zostało ono nadane prekursorom jego rodu. Gwoli ścisłości, nie opowiadał o tym nigdy. Nie zdradzał się także, iż w ogóle je zna, toteż wszyscy jego znajomi żyli spokojnie w przeświadczeniu, że historia nazwiska Wlazła, jak historie zdecydowanej większości nazwisk, zaszczyliła grono tych drobnych elementów historii powszechnej, którymi nikt nie zaprzęta sobie głowy; słowem, że takowa rzeczywiście nie istnieje. Jednak nic bardziej mylnego!

Wlazłowie od pokoleń byli rodziną wzorcowo kultywującą tradycję. Dzieciom do kołyski opowiadano historię nadania przydomku biednemu, acz dobrze wżenionemu kmicciowi, Maciejowi. Mogłoby się komuś wydawać nader niestosowne, aby takiej historii wysłuchiwać miały zawinięte w pieluchy berbecie, jednak kolejną cechą wyróżniającą rodzinę Wlazłów było to, że zawsze wiedzieli lepiej. Nie istniał Wlazło, który choć raz w życiu poszedłby na kompromis, nigdy nie ulegali bowiem w dyskusji, choćby mieli pozostać skłóceni z całym światem i notabene nieczęsto zdarzało się, aby ktoś z tej rodziny rozmawiał z jednym człowiekiem dwa razy. Wlazłowie mieli swój honor, swoją dumę i, niejednokrotnie błędne, ale zawsze własne i niepodważalne, przekonania.

Członkowie rodziny Mariana z reguły byli ludźmi bardzo pogodnymi, ale tylko we własnym kręgu. Z obcymi nie żartowali, nie śmiali się i nie spoufalali, chyba, że obcy był bardzo atrakcyjnym przedstawicielem płci przeciwnej i przyszłym potencjalnym Wlazłem. W takim przypadku każdy Wlazło stawał się człowiekiem przemiłym, niesamowicie inteligentnym i tryskał elokwencją na wszystkie strony, aż obserwatorzy takiej sceny bezwiednie ocierali twarze, spodziewając się, że ociekać będą jego pięknymi słówkami. Nie było dotąd

panny spotkanej przez Wlazła, która nie zostałaby potem jego szczęśliwą małżonką. Bo niewątpliwie zostać małżonką Wlazła było szczęściem godnym pozazdroszczenia. Kobiety w tej rodzinie wynoszono pod niebiosa, nigdy nie pracowały, były zawsze piękne i zadbane; z radosnymi wypiekami na twarzy wychowywały liczną dziatwę (nie istniał nigdy bezdzietny Wlazło powyżej trzydziestego roku życia) i z niemniejszym entuzjazmem dbały o porządek i ogólne piękno domostwa.

Zaznaczyć należy, że Marian Wlazło był inny. Co do jego nazwiska, nikt już na pewno nie ma wątpliwości, że wolałby, aby nie wygrzebywać na wierzch jego korzeni? Któżby go jednak pytał o zdanie?

Historia sięga czasów Polski szlacheckiej, kiedy to chodził po ziemi ubogi kmieciu, imieniem Maciej. Miodu pił dużo i nie stronił od ruskiej wódeczki, brodę zaś, długą i wiecznie zapapraną trunkiem czy jedzeniem, nosił, dumnie wypinając pierś, wydawałoby się w zawodach z innym ubogim kmieciem, co go wołano Jontek. Jontek był beczelnie przystojny, a cała w tym jego beczelność sprowadzała się do faktu, iż z niezwykłym, zdawałoby się, tupetem całą swą przystojność bezwiednie ukrywał! Nie dość, że nosił brodę długą do pasa, jeszcze bardziej od brody Macieja zapluta i zaświnioną tłuszczem, to również strój jego, workowaty, podarty, brudny i śmierdzący robił z pięknego mężczyzny – pozał się Boże obdartusa!

Było ich takich we wsi dwóch, a nie lubili się jak te dwie sroki, co mordują się o gnat. Omijali jeden drugiego szerokim łukiem, gdy wędrowali wiejską ścieżyną. Kiedy zaś zdarzyło się, że we dwóch zajrzeli do jedynej knajpy w zapyziałej mieścinie trzy zdrowski drogi od wioski, wiadomo już było wszystkim, że stoły i krzesła pójdą w ruch. Zaczynało się zazwyczaj po piątym czy szóstym kuflu warzonego piwa. Karczmarz przezornie chował szkła pod ladę, po czym sam wlaził pod spód i trząśł wypiętym w górę tyłkiem, chowając głowę w ramiona. Logicznym wyjściem mogłoby się wydawać zakazanie wstępu do karczmy obu pijusom, były jednak ku temu dwie istotne przeszkody:

nie było w mieście osiłków zdolnych stawić czoła łapserdakom, a kiedy już przez nikogo nie zatrzymywani pojawiali się w oberży, nie żalowali grosza. Zapijali się w trupa, zasypiając pod ławą, a tuż o poranku wyruszali w drogę powrotną do rodzimej wiochy. Rzucanie stołami męczy okrutnie, a ponieważ stoły z solidnego wykonywano drewna i od któregoś razu obchodziło się już bez ofiar śmiertelnych, wyczyny opojów, choć nie bez przymusu, tolerowano.

„Przyszedł był zatem, moje dziecko taki dzień...” – opowiadała któraś z babć któremuś z wnucząt rodu Wlazło, pełna dumy, wyuczonym gestem wszystkich Wlazłów bardzo mocno wypinając pierś – „...kiedy dwóm gagatkom stanąć przyszło w konkury!”. Tak w tej rodzinie zawsze określało się Macieja – ubogiego kmiecia: był to „gagatek”. A w konkury przyszło mu rzeczywiście stanąć pewnego pięknego, słonecznego poranka, kiedy to wytaczał się z pustej o tej porze, brudnej i zarzyganej karczmy. Podnosząc czerwone z pijaństwa oczy, w otoczkach sinej opuchlizny, ujrzał niewiastę, o której nie wiedział jeszcze, że diametralnie odmieni jego życie. Początkowo czuł się po prostu oczarowany jej dziewczęcą urodą, tym, jak poruszała się z gracją niespotykaną u kobiet w tych okolicach. Wspomnieć należy, że niewiasty z tej zapomnianej przez Boga i Diabła wioseczki były kobietami męznymi. Niewiele brakowało, aby miały zacząć nosić wąsy i żłopać miód bez opamiętania. Ciała miały pulchne i miękkie, lecz z charakteru były twarde jak skała. Pracującym przy żniwach i w miastowych cechach kobietom tej małej wioseczki na wschodzie Polski zdecydowanie brakowało kobiecości.

Tym bardziej zatem urzekły kmiecia Macieja długie, jedwabiste włosy, w złocistym kolorze najlepszego karczemnego piwa (które to skojarzenie Macieja z pewnością nie było bez znaczenia), smukła, rumiana twarzyczka, ozdobiona pąsowymi ustkami w kształcie serca i niewinne oczęta jak dwa błyszczące migdały. Sunął powoli przed siebie, ze wzrokiem utkwionym w jej ogromnym, sterczącym biuście, prawie nieosłoniętym przez mocno wydekoltowany stanik. Dreptała tanecznie po śliskim, miejskim bruku, z balią pełną prania pod pachą.

„Raj pijaków” – pomyślał zapewne Maciej, uporczywie podążając wzrokiem za mijającą go piękną i jej nieprzeciętnymi piersiami – „To jest pijacki anioł; jak dobrze być pijakiem!”. Kiedy dziewczyna zniknęła z pola jego widzenia, odwracał za nią głowę, zapominając chwilowo o reszcie ciała, wciąż idącej do przodu. Taka gimnastyka nie mogła nie zakończyć się upadkiem. Maciej runął plackiem na ziemię i wyrznął głową o wilgotne kocie łby. Z głębi jego piersi wyrwało się jedynie zduszone „ugh”.

Minęła chwila zanim doszedł do siebie na tyle, by podnieść z ziemi swe wielkie, nabite cielsko i zorientować się w sytuacji. Znieczulony wciąż szumiącym w jego głowie alkoholem, nie poczuł, jak na skroni wyrasta mu guz wielkości własnej pięści. Nie miał też możliwości dostrzeżenia koloru wspomnianego guza, który powoli zaczynał przypominać śliwkę. Śliwkę węgierkę, dojrzewającą w tempie, jak na śliwkę, zastraszającym. Rozejrzał się wokoło, poszukując czegoś, co, wydawało mu się, zgubił, nie pamiętając jednak, co to takiego?!

Robił wrażenie jeszcze bardziej pijanego, niż był w rzeczywistości. Nawet jeżeli mogłoby się wydawać, że ktoś, kto nigdy w zasadzie nie trzeźwieje, nie może wyglądać na pijanego „bardziej”, tak właśnie było. Kroczył niepewnie, niewidzące spojrzenie utkwivszy gdzieś w dali, usta otworzywszy komicznie. Ludzie i zwierzęta schodzili mu z drogi, kiedy rozbijał się po wiejskim trakcie od brzegu do brzegu. Śpieszył gdzieś w swym pijackim transie, nie wiedząc ani dokąd, ani po co zmierza. Wszystkie babki rodu Wlazłów opisywały ten moment bardzo szczegółowo. Ten marsz był wstępem do najważniejszego wydarzenia w jego życiu, do najważniejszego wydarzenia w istnieniu całego rodu, do momentu, w którym ród ten nieformalnie zaistniał.

Marsz pijacki kmiecia Macieja był również, Marian wzdrygnąłby się na to wspomnienie, wstępem do najbardziej wstydlivej, jego zdaniem, części tej historii. Otóż kmieć Maciej zobaczył cel swej wędrówki. Zobaczył cel o szarych oczkach i sercowych ustach, w towarzystwie pijaka Jontka. Jontek zalecał się do

dziewczęcia wcale nieodrzucały. Panna wieszała pranie na sznurkach, uśmiechając się od ucha do ucha, ukazując szereg bielutkich, równiutkich ząbków. Jontek wpatrywał się chciwie w jej dekolt z chamowatym uśmiechem na twarzy i strużką śliny oklejającą się obrzydliwie na gęstej brodzie.

Maciej z początku miał ochotę rozplakać się na ten widok rzewnymi łzami, już po chwili jednak gniew i żądza wzięły górę! Przyjął najgroźniejszy wyraz twarzy, na jaki było go stać, a stać go w tym zakresie było na wiele, po czym ruszył dziarsko przed siebie, podwijając rękawy szarej, zniszczonej koszuliny. Jontek nie miał szans zauważyć zbliżającego się rywala, ten zaś zbliżał się agresywnie, nie kryjąc furii, najlepiej widocznej w wodnistych, opuchniętych, mocno w tej chwili zmarszczonych, świńskich oczkach. Złapał konkurenta za tak zwany wszarz i oderwał brutalnie od rozkosznego widoku dziewczęcego biustu. Jontek padł na ziemię nie mniej widowiskowo niż jeszcze przed chwilą zrobił to Maciej. „Co je, do psiego gnata?!” – miał zakląć ten pierwszy wedle babcinych opowiadań. Nie zdążył rozwinąć swego pytania, bo już na piersi siedział mu rozjuszony kmieciu i ochoczo okładał po zarośniętej gębie. Piwnowłosa panienska odwróciła się z lekkością motyla i z niewypowiedzianym przerażeniem obserwowała bijatykę, w której przesądzona była wygrana Macieja. Przyłożyła szczupłe, malutkie rączki do zaognionych policzków, jeszcze wyraziściej kształtując swe pąsowe usta w pełne, pulchne serduszko.

Po niecałych dwóch zdrowaśkach (wedle rodowych babulek) Jontek już leżał bez tchu, a Maciej z panną udawali się do wsi, do Maćkowej stodoły. Porzuciwszy białe, wyprane kiecki i pantalony w drewnianej balii, poszła chętnie w objęciach kochanka. Ludziska po drodze mijani kręcili głowami z politowaniem. „Z tym pijusem, taka ładna panna!” – myśleli zapewne z niesmakiem – „A jakie ma donice!” – myśleć także musieli chłopci, odkładając na chwilę kosy, czy sierpy, czy co tam który akurat w dłoni dźmierzył. A ona z radością dreptała u boku Macieja, śmiejąc się serdecznie, z delikatną nutką obłądu w głosie.

Na sianie stodoły tylko z początku mogli sami rozkoszować się chwilą. Zaraz bowiem pół wsi się zbiegło, posłyszawszy krzyki i jęki dziewczeczki. Łapali za widły, za kosy i pędzili z odsieczą mordowanemu człowiekowi czy to zwierzęciu. Dobiegłszy jednak na miejsce, stawali jak wryci u otwartych na oścież, spróchniałych wrót Maćkowej stodoły. Stali i patrzyli z niedowierzaniem na wyczyny paskudnego, zarośniętego pijaka. Ukryć się nie dało, że patrzyli z zazdrością – czy to kobity, czy chłopcy, zazdrościli jak jeden mąż takiego wigoru i krzepy.

Po dłuższej chwili przedstawienie dobiec musiało końca, zjawił się bowiem piękny pan na karym rumaku, a na jego niemłodej wprawdzie, ale ślicznej, pańskiej twarzyczce, malowało się przerażenie. „On gwałci mi córkę!” – krzyknąć miał kasztelanek w hysterii, w tle zaś ryczała jego córeczka z niewątpliwej rozkoszy. – „Ściągnąć z mojej córki to proszę, zanim będzie za późno!!” – miał wrzasnąć, ale w tej właśnie chwili spazmatyczne drzenie pleców Macieja zdradziło, że już jest za późno. „Juści panocku, za późno, wlażło juści, psia jucha!” – krzyknąć miał któryś z kmieci i to zdanie powtarzane było przez babki każdorazowo w niezmienionej formie. Tak powstał ród Wlazłów i w ten także sposób kmieć Maciej przestał być zaplutym pijusem (co rzecz jasna nie oznacza, że przestał pić).

Piękny kasztelan okazał się człowiekiem godnym podziwu. W obliczu największej swej życiowej tragedii zachował zimną krew i trzeźwość umysłu. Wciąż rozkosznie roześmianą córeczkę, piękną i rumianą od niedawnych rozkoszy, wciągnął za siebie na karego rumaka i, oddalając się galopem od Maćkowej stodoły, zdążył jeszcze rzucić za siebie: „Jutro przywiozą cię, kmieciu, bryczką do dworu i zapomnisz na zawsze, żeś był kiedykolwiek kmieciem i pijusem, a jeśli nie, to każę pozbawić cię twojej obskurnej gęby!”. Kmieć nie protestował.

Tak zatem ubogi kmieć Maciej niespodziewanie stał się paniczem Maćkiem we dworze szanowanego wtedy bardzo kasztelana, a wszystko dzięki chuci

obląkanej pańskiej córeczki. Odtąd, kiedy przejeżdżał przez wieś piękną, hebanową, bogato rzeźbioną bryczką z pąsowo okutymi siedzeniami, wołano na niego: „Wlazło Maciej jedzie, Wlazło Maciej!!!”, Maciek zaś tak dumny był ze swego dokonania, że od przydomku już nie odstąpił, był jednocześnie wbrew wszelkim najsluszniejszym pozorom człowiekiem o sprycie niebywałym tak, że już wkrótce cały dworek z przyległościami należał do niego i nie dość tych osobliwości w jego wykonaniu! Spłodził synów ośmiu i jedną piękną, rumianą po mamusi, jasnowłosą córeczkę. Zapoczątkował ród z niezwykleymi tradycjami, ród bogaty i dostatni, pełen żigolaków i sprytnych, obrotnych (w każdym znaczeniu tego słowa) panien. Było zatem czym się chełpić.

Trafił się jednak również w tej rodzinie Marian Wlazło. W XXI wieku nie czas ani miejsce, rzecz jasna, na rodowe wspominki z czasów Polski szlacheckiej i nie czas, by się nimi chwalić, on przynajmniej z takiego wychodził założenia, w przeciwieństwie do reszty rodziny. Rodzinę zaś miał oczywiście liczną. Trzech braci i trzy siostry, z co najmniej dwójką dzieciaków każde i pewne jest, że na tym nie poprzestaną. Sześcioro rodzeństwa plus dwoje rodziców, a wszyscy ośmioro jak jeden mąż (już nie wspominając ciotek i wujów...) nie cierpieli serdecznie Mariana. Czy zatem dziwne, że nigdy o nich nie opowiadał?